DEOTYMA.

KOŚCIUSZKO.



WARSZAWA

1917.

KOŚCIUSZKO

FRAGMENT POEMATU

DEOTYMY.

DOCHÓD
NA POMNIK TADEUSZA KOŚCIUSZKI
W WARSZAWIE.

WARSZAWA. 1917.

Drukarnia Społeczna, Stow. Rob. Chrześc., Plac Grzybowski 3/5.

Geprüft und freigegeben durch die K. D. Presseverwaltung. Warschau, den 10/I 1918.
T. № 8672. Dr. 174.

Wielka postać Naczelnika Narodu zajmowała wyobraźnię Deotymy od najmłodszych lat:

„Tyś mi już nad kolebką szeptała w powiciu
„Słowa, od których dziecko bezsenne ma noce".

Jednak pierwotne dzieje „Polski w pieśni" — jak: „Wanda", „Gonitwy w dolinie Prądnika", „Lech", „Wojna Olbrzymów", „Wyszomira", „Dwunastu Wojewodów", „Tomira" i inne—potem „Sobieski"—nie pozwoliły poetce przystąpić do spiżowej postaci ostatniego, wielkiego bohatera wolnej Polski. Do spełnienia tego dzieła przygotowywała się Deotyma, jak zwykle — z całym pietyzmem; znajdujemy w notatkach wyliczonych 12 dzieł o Kościuszce w różnych językach, przeważnie z pierwszej połowy zeszłego wieku.—O poważnym zamiarze świadczą też 3 plany przyszłego poematu, które dla pożytku przyszłych twórców w całości przytaczamy:

I plan. 1. W Krakowie—ogłoszenie powstania—przysięga — wyruszenie z Krakowa. 2. Bitwa pod Racławicami. 3. Powstanie w Warszawie. 4. Szczekociny. 5. W Woli Okrzejskiej. 6. Maciejowice. 7. Droga (zdobycie Warszawy — rzeź Pragi — 3 po-

dział. 8. Śmierć Katarzyny. 9. W więzieniu i uwolnienie. 10.—11. Ostatnie chwile. 12. Śmierć i pod Wawelem koronacja. II plan. 1. Powstanie w Krakowie. 2. Pod Racławicami. 3. Powstanie w Warszawie. 4. Powstanie na Litwie — pod Połańcem. 5. Szczekociny. 6. Maciejowice. 7. Zdobycie Warszawy—rzeż Pragi—3 podział. 8. Droga i więzienie. 9. Uwolnienie i wyjazd do Ameryki. 10. Ostatnie chwile i śmierć. — Epilog—Apoteoza. W III planie różnią się tylko 2 ostatnie pieśni: W Szwajcarji i koniec. Sypanie mogiły i sen.

Do wykonania swych marzeń dziecinnych przystąpiła Deotyma, niestety, dopiero pod koniec swego życia, jak o tem świadczy przepiękny początek pieśni trzeciej:

Witaj, piastunko moja, ziemio Mazowiecka,
W której krzepkie oblicze patrzałam od dziecka,
Z której piosnek o dziarskiej, mazurskiej nucie
(Świętych piosnek) wysnułam to pierwsze uczucie,
Tę pierwszą myśl, że „Polska jeszcze nie zginęła".
Ty, niańcząc me dzieciństwo, śpiewałaś mi dzieła
Wielkich ojców, za to na poły już w grobie
Stojąca, dziś zaśpiewam tobie i o tobie.

Nie dokończyła pieśni, struna jej lutni i życia pękła... Ukochany Naczelnik nie doczekał się zupełnej apoteozy.

Niechże przynajmniej ten ułomek, z najszlachetniejszego kruszcu natchnienia, w stuletnią rocznicę zgonu Kościuszki przypomni narodowi nietylko o Nim, ale i o wielkiej Jego Pieśniarce.

Ks. Stanisław Kuczyński.

Warszawa dn. 15 października 1917 r.

KOŚCIUSZKO.

Bohaterze wolności! Za morzami czczony,
Bezkoronny, a czołem wyższy nad korony,
Razem silny i czysty, jak nasz orzeł biały,
Ty, któryś nam przekazał w testamencie chwały
Cnotę, najdroższy klejnot dziejowej spuścizny —
Kościuszko! Ciebie śpiewam, kochanku Ojczyzny!

Któż ją lepiej miłował? I, prawem zamiany,
Któż w naszej Polsce kiedy był mocniej kochany?
Jedyny on, jak słońce i słońcem jaśnieje:
Czy z jutrzenką różowe siejący nadzieje,
Czy zwycięsko rozsiadły w pełnej aurolі,
Czy ukryty za chmurą północnej niewoli,
Czy tryumfujący w blaskach cichego zachodu,
Czy żywy, czy umarły — bożyszcze narodu.

Więc kogóż pieśń ma wezwać, jeśli nie jedynej
Tej niebianki, co wszystkie natchnęła mu czyny?
Królowo Jego serca! Strażniczko przysięgi!
O miłości Ojczyzny! Bądź Muzą tej księgi.
Tyś mi już nad kolebką szeptała w pomroce
Słowa, od których dziecko bezsenne ma noce,
Dziś powtórz je, dziś w usta je włóż twojej słudze,
I jak ty mię budziłaś, tak i ja niech budzę.

Jeśli kiedy, to dzisiaj! Gdy przez polskie kraje
Cały czarny wiek przeszedł, a czarniejszy wstaje—
Gdy na tę rozoraną stu burzami rolę,
Nietylko wróg, lecz swoi niosą już kąkole —
Gdy po wspomnieniach depcą, a zwątpienie sieją—
Miłości, nierozłączna z Wiarą i Nadzieją!
Tu nas ucz, wspaniałemi dawnych lat przykłady,
Jak mamy bój powstrzymać, jak rozeznać zdrady,
I jak z niebem zachwiane umocnić sojusze,
By przechować w nadziei kościuszkowską duszę?

Ach, i wtedy najdroższe świętości deptano,
Gdy On jął czcić Polskę, wpół zamordowaną
Drugiem cięciem Rozbioru, w tej okropnej chwili
Tryumfów Targowicy, gdy ludzie zwątpili
Czy jest Opatrzność? Jedni, bez czucia, bez mowy,
Usiedli, całunami obwiesiwszy głowy,
Kamienni, na kamieniach zwalonego domu.
Drudzy krzyczeli w orgjach. Inni pokryjomu
Pili, byle tym szałem, co pamięć oniemia,
Uśpić sępa rozpaczy, lub furje sumienia.

Jednakże wszystkie oczy, od Dźwiny po Wartę,
Czy zawrotem obłędne, czy z łez nie otarte,
Zwracały się na Zachód, — bo tam znikł ostatek
Przeszłych pociech, i przyszłych jedyny zadatek.
Tamtędy odszedł, z sercem skrwawionem, obrońca
Z pod Dubienki. — Widnokrąg od końca do końca
Zaciągnięty był kirem, tylko z tamtej strony
Brzeg chmury się odwinął i lśnił pozłocony—
Znak, że słońce nie zaszło.
Były też co chwila
I znaki, że już burza chyba się przesila.

Co gromów mogło upaść, wszystkie już runęły.
. . . .
. . . . Ach, i gorsze od niej
Odstępstwo króla. Potem sejm zbiorowej zbrodni.
Gdy ten siadł, matkobójczym oniemiony strachem,
Ogień z nieba zasyczał nad dziejowym gmachem,
Pękły słupy, dach zgorzał, i tknięte raz wtóry,
Od posad się potężne zrysowały mury.

Z pod rumowisk mieszkańcy wychodzą nieśmiało,
Liczą głowy, badają, co z murów zostało,
I szepcą: „To już chyba ostatni grom boży,
„Tak jest żle, że już nigdy nie może być gorzej“,

Burza przycichła. Tylko, jak deszcz ołowiany,
Terroryzm Targowiczan tnie zruszone ściany,
Uczciwe piersi chłoszcze, i podmywszy lochy,
Lepkim kałem zamula czyste ojców prochy.

A tymczasem nad ziemią wciąż jeszcze się łyska,
Lecz cicho, i z innego już chmur zbiorowiska.
Niektórzy mówią, że to na pogodę,
Dziwne łyskanie. Czasem jakieś oko młode
Zapali się, gdy spotka oko przyjaciela.
Czasem na ścianie pełgnie stara karabela,
Gdy nieostrożnie Barska potrąci ją ręka,
Tak niebo z końca w koniec od jasności pęka,
Wielu wróży coś, może w ułudzeniu płochem?
Gdyby wierzyć ich zdaniu, czuć powietrze pro-
[chem...

Znagła — znowu zagrzmiało. Rozkaz Igelstroma:
„Zwijać pułki!“ Przeleciał nad wojskami dwoma:

Koronnem i Litewskiem, jak piorun.
Budowy
Niby nie tknął, — lecz łamał dziesięcio-wiekowy
Dąb rycerstwa polskiego, co królewskie czoło
Miał obrośnięte sławą, jak drzewo jemiołą,
A choć już w nawałnicach pogięty i stary,
Jeszcze dom zielonemi ocieniał konary,
I dla tych nieszczęśliwców, którym dach zniszczono,
Ostatnią był od wichrów i słoty ochroną.
A dziś, nawpół rozdarty! I cóż będzie, jeśli
Uschnie aż do korzenia? Oni wiele znieśli,
Gdy zbój wynosił sprzęty, gdy zdrapywał ściany,
Znosili. Lecz gdy podciął ich dąb ukochany,
Wybuchnęli okrzykiem gniewu i boleści.
Z wszystkich dzielnic kraju zerwały się wieści,
Jak ptactwo z połamanych gałązek spłoszone,
Szumią, — lecą — a wszystkie na zachodnią stronę,
Do chmurki, co słoneczne odbijała blaski.
Wszystkie lecą nad Elbę, do tej ziemi Saskiej,
Gościnnej, nawpół jeszcze polskiej, gdzie Jenerał
Kościuszko myśli ważył, a w ręku swem zbierał
Nitki tajnego Związku, jakim Polska cała
Oprzędła się w letargu i dni rachowała,
By znów kiedy wylecieć, jak wylata młody
Motyl, nieśmiertelności godło i swobody.

Baczny wódz powstrzymywał zbyt chybkie nadzieje,
Radził, błagał, by czekać aż motyl dojrzeje,
Bo zawcześnie zbudzony, w cudownej przemianie
Już on tęczowo świetlnych skrzydeł nie dostanie.

Tak rok jeden i drugi hamował porywy,
A plan mędrzec układał, strategik cierpliwy,

Lecz dzisiaj rzecz się zmienia. Chwila, czy nie
[chwila,
Sam wróg niebacznie zbudził śpiącego motyla.
Słyszy wódz, jak coś szemrze w Związkowej skorupie,
I drży, czy mu się sama w ręku nie rozłupie?
Wtedy... czem wyjdzie Polska? Czy Psychą
[skrzydlatą?
Czy senną jeszcze larwą? Boże! Niech i za to
Przed Tobą przemoc obcych odpowie bezbożna,
On wie tylko, że teraz już czekać nie można.

Właśnie też pora zbudzeń, wiosna przychodziła,
Po tęgich zimach zawsze Polakowi miła,
A gdzie już najweselsza, to w ziemi Krakowskiej,
Na którą patrząc, człowiek zapomina troski.
Niepróżno Bóg ją ubrał wdziękami tak wielu;
Chciał mieć ogród królewski pod oknem Wawelu.
Grunt jej utoczył z dolin i wzgórz na przemianę,
Po stokach biegną pólka, skośnie pokrajane
W szachownicę, gdzie barwa od barw się odrzyna.
Tu jak suta karazja płonie koniczyna,
W blaskach rosy świecąca wieczorem i rankiem,
Obłożona tatarką, jak czapka barankiem.
Tam, grochy pstro się wiją: tak niech pól tych
[córka
Pójdzie w tan, a włos buja i wstążkami furka.
Dalej kapią pod słońcem rzęsiste owieski,
Czasem jak oko dziecka mignie len niebieski.
A na tych tłach pszenica w setny kłos bogata,
Krzyżuje się i błyska, jakby złota krata.

Przy wzgórzach urodzajnych są i skalne złomy,
Wpół obrzeźbione dłutem ręki niewidomej.

Są i groty, grające dziejowemi echy,
Lecz wszystko to nie duże, jakby dla uciechy.

Są i lasy, lecz wdzięczne. Kto ujrzy w podróży
Te modrzewie podszyte bladawym krzem róży,
Te pawiaste jawory i ciemne dąbrowy,
Bramowane sznurkami wierzby purpurowej,
Przysiągłby, że mistrz jaki sadził je uczenie,
I wedle ksiąg dobierał ich światła i cienie.

Środkiem ogrodu, Wisła, jak młoda królewna,
Idzie zwolna, białemi żaglami powiewna.
Płaszcz za nią modro-złoty bez końca się toczy,
A kwiaty jej po brzegach zaglądają w oczy,
Kwiatów mnóstwo.
Nietylko tych, co rosną wszędy,
Goździków i barwinków, dzwonków i lawendy,
Lecz są i takie, które na dziw księdza Kluka,
Po innych Województwach nikt się nie doszuka,
Choćby zjechał pół kraju, od Gopła do Wilji.
Taki jest ów Ziemowit, co ma postać lilji,
Tylko z dworska przebranej, bo ściska się giętką
Sznurówką, twarz różuje karminową cętką,
I drwi z lilijek białych, jak królowa Bona
Drwiła, między niewinne Polki wprowadzona.
Takim jest i Rozchodnik — Prądnickiego pola,
Co ma miękkość jedwabiu i połysk sobola,
I ta „brzózka Ojcowska", tak rzewna, gdy przetka
Swój liść krwawemi plamki, — może z łez Łokietka
Powstałemi, gdy płakał nad kraju zatratą.

Niechże więc tylko chuchnie ciepło-uste lato,
A już, kraśno czy biało, żółto czy błękitnie,
Cała ziemia Krakowska, jak wirydarz kwitnie.

Lecz teraz jeszcze niema ni kwiatów, ni zboża,
Ni traw. Rzeki niedawno ruszyły do morza,
Uwożąc dolinami wiosenne roztopy.
Wzgórza w żywych strumieniach opłókują stopy,
W marcowem słońcu suszą brunatne ramiona,
Gaj o bezlistnych różczkach, jak sieć rozwieszona,
Drga na wietrze. Mgła ciąży nad wypełzłym smugiem.
Czasem pilny gospodarz już wyjdzie za pługiem.
Ziemia czarna, (w Krakowskiem wyborna jest gleba),
Jak rozłamany bochen razowego chleba,
Opada po dwóch stronach lemieszowej blachy,
I jak chleb kwaskowate wydaje zapachy,

Za pługiem wrony, wlokąc ogon rozłożysty,
Idą i z bruzd łapczywie wyławiają glisty.
Rad, że mu rolę czyszczą, chłop czasem za siebie
Spojrzy. Lecz jeszcze chętniej wodzi wzrok po
[niebie,
Bo jeśli ziemia dotąd naga i żałosna,
Tam w powietrzu już wszystko wyśpiewuje „Wiosna!"

Już od niedziel dwóch czajka przyciąga za czajką.
Przybrane po błazeńsku pstrokatą kitajką,
Skrzeczą, skrzydłem grzechoczą, i łamiąc lot szparki,
Przewracają koziołki, powietrzne kuglarki.

Już po nocach wieś cała mało snem się bawi,
Budzona okrzykami przejezdnych żórawi,
Dosiadły chmur, i klinem, gdzie rotmistrz ich każe,
Pędzą na srebrnych skrzydłach, podniebne husarze.

Aż zjawił się, najmilszy znak wiosennych przemian,
Kum bocian, prorok szczęścia, ulubieniec ziemian,
Usiadł na starem gnieździe emigrant znużony,

Tęsknym okiem ojczyste rozpatruje strony,
Klekotem opowiada swą wyprawę sławną
Za Nil. Czasem, jak piosnka zapomniana dawno,
Z pod skrzydeł mu się dźwięczny skowronek
[wywinie.
Słucha ich obu wieśniak, orzący w dolinie. —

Nagle odjął od nieba zadumane oczy,
Obziera ziemię, słucha, co się po niej toczy?
Ktoś jedzie. Trząsko dudniąc od strony Podgórza,
Kryta bryczka na trakcie z pyłu się wynurza.
W ciszy, co senne skrzydła nad polem roztacza,
Każdy ruch zastanawia i bawi oracza.
Wstrzymał woły przy drodze, patrzy się ciekawie,
Raźny wiarus tnie z bicza, na przodowej ławie
Czerwienią się nad końmi krakowskie chomąta,
Pod budą siedzi szlachcic. Nieco wyjrzał z kąta,
Uśmiechnął się na widok orzącego kmiotka,
I uniosły go konie. A tak była słodka
Siła tego uśmiechu, że chłop choć na drugą
Zawrócił skibę, jeszcze oglądał się długo.

Wózek leciał pod Kraków. Minął wpół spalony
Pierścień zwalisk przedmiejskich, pomnik tej obrony,
Pełnej walk Homerycznych, Tassowych postaci,
Którą Barscy przetrwali tu Konfederaci.
Już po nadgniłych belkach przebył wązkie nurty
Rudawy, już podąża w stronę Szewskiej Furty,
Aż przystanął przed basztą ceglastą, omszałą,
Gdzie u ścian kilka bluszczów czarną łzą wisiało.

Musiano czekać gościa, bo jakby przez czary,
Same się odwinęły skrzydła bramy starej;
Potem jakby przez czary zamknęły się same.

Wózek, z turkotem ciasną przejechawszy bramę,
Wtoczył się na dziedziniec sporego dworzyszcza,
Niegdyś miejsce obronne, dziś gruzy i zgliszcza.
Przód był zdobny trawnikiem, dwa boki ogródkiem,
Ale w tej porze roku i ogród wiał smutkiem.
W głębi, jak nowy talar pośród boratynek,
Bielił się świeży jeszcze mieszkalny budynek,
Zwano go Pałacykiem.

Na trzask bicza cienki
Pod ganku wejściowego nizkie kolumienki
Wyszedł gospodarz domu, Komendant Krakowa,
Józef Wodzicki. Postać piękna i wojskowa,
Twarz zacna, wzrok wesoły, słowo prosto z duszy,
Siwiuchne włosy gładko spadały na uszy.
Mundur był jeneralski, granatowy; z przodu
Rude wyłogi ciekły niby smugi miodu;
Modre spodnie obciśle nogę rysowały;
Jednak stąpał ostrożnie, jak człowiek schorzały.
Roztworzył ręce, gościa pochwycił u progu,
I ściskał, a ściskając, wołał: „Chwałaż Bogu!
„Jesteś! Jesteś nakoniec! Ty dobry Genjuszu
„Naszych losów! Kochany Panie Tadeuszu!
„Myślałem, że już nigdy ten dzień nie nastanie!
„Wejdź-że! Dawaj rozkazy! Ach, czekamy na nie!“

Weszli. Drzwi wnet zawarto, i aż w noc głęboką
Głucho było za niemi — jakby za opoką,
Prawda, że od ogrodu wsuwały się cienie,
Tajemnemi znakami mówiące uczenie,
Lecz głosu nie dobyły ni raz. Istne mary,
Mknęły, nikły, wracały, wszystko jak przez czary.
Dopiero późno wieczór, z dwóch okien budynku

Padł blask. W jadalni ogień błysnął na kominku.
Na ścianie, w czarnych ramach, jak za mgłą, się
[snuło
Stare plemię Wodzickich, niejeden z infułą.
Na stole od świeczników szedł zapach woskowy;
Dwuramienny ich płomyk oświecał trzy głowy.

Z jednej strony gospodarz, z drugiej siedział człowiek
We fraku i halsztuchu, co z ręką u powiek,
Odsunąwszy talerze, patrzał się w papiery;
Muszą go wzruszać, znać to z nagłych odmian cery.
Trzeci, nowo przybyły, zajął środek stoła.
Włos mu po republikańsku spadał na wpół czoła.
W ciemnej skromnej czamarze z zieloną obwódką,
Mąż lat czterdziestu kilku, miał twarz nieco krótką,
Nos nieco zadzierżysty, lecz uśmiech uroczy,
I cudownie ciągnące, szafirowe oczy.
—„Panowie—rzekł gospodarz — kolacja skończona.
„Jenerale, weź jeszcze tę pół-pierś kapłona.
„Nie chcesz? To wypijmy kapkę, kieliszątko.
„Mam węgrzyna ze stuletnią bez mała pieczątką,
„Patrzcie, jest rok sześćsetny dziewięćdziesiąt szósty,
„Rok śmierci Sobieskiego. Wiek, dla chwały pusty!
„A tyle marnych wojen! Ach i zbrodni tyle!
„Chowałem ten kordjalik na szczęśliwszą chwilę.
„No, i przyszła! Zobaczysz, gdy się nim trącimy,
„Wrócą nam po stu latach Wiednie i Chocimy!“
—„I owszem, lubię węgrzyn—podróżnik odpowie—
„Byle małym kieliszkiem, a za wielkie zdrowie“.

Trącili się. Wodzicki zawołał znów: „Dwóch mało!
„No, Panie Aleksandrze, co cię opętało?
„Dulczysz nad tym arkuszem, jakby nad zagadką“.

Tamten rzekł: „Chciałbym jutro przeczytać go gładko,
„Więc badam rzecz. Przepraszam, skończę już
[niedługo,
„Powiedz mi, Naczelniku, to pisał ksiądz Hugo?
„No tak“—odparł zapytany—„lecz z Potockim
[razem,
„I mnie się też radzili. Nad każdym wyrazem
„Były namysły, w końcu, zawsze zgoda święta.
„Hugon ma bystrą głowę i rzadkie talenta“.
— „Ach, Naczelniku, rozum, przyznaję mu, ale...“
Tu zamilkł, a komendant krzyknął: „Jenerale,
„Z Linowskim próżno gadać. On precz się upiera,
„Że w Kołłątaju siedzi żyłka Robespiera“.
— „No, nie!“ — przeczył Limowski: „Ja żadnej
[przestrogi
„Nie daję, ale chciałbym, aby wódz nasz drogi,
„Choćby przyszło tu siedmiu mędrców i genjuszy,
„Nie radził się nikogo, tylko własnej duszy,
„Bo i któryż wiek, duszę, równą twojej, wyda?
„Ty masz miecz Temistokla z cnotą Arystyda“.

Uśmiechnął się Naczelnik i rzekł: „Szambelanie,
„Ej, nie mów ty po dworsku. My, republikanie.
„A gdy z Plutarchowego chcesz wybierać wieńca,
„To wiedz, że ja innego już mam ulubieńca.
„Zgadnijże kogo? Widzę, żeście niecierpliwi.
„Lubię Tymoleona. Ten wybór was dziwi?
„Prawda, że nie bez chmury była jego cnota,
„Ale mię podbił końcem swojego żywota.
„Przez wszystkich uciśnionych na pomoc wzywany,
„Z ojczystego Koryntu wypędził tyrany,
„Wydarł i Syrakuzan łakomej Kartadze,
„A gdy lud mu najwyższą ofiarował władzę,

„Odmówił, i żył równy tym, co go mieć chcieli
„Za pana. Wzór żołnierzy i obywateli.
„Jakaś godzina bije... O, już jedenasta!
„Jakiż miły jest dla mnie głos waszego miasta!
„Owe dzwony, zegary, ach, i te hejnały,
„Co trąbiły na tyle dni szczęścia i chwały!
„Przed laty kilkunastu mieszkałem w Krakowie
„Na Rynku, w starym domku, w tym, co to się zowie
„Liszkowski (od Florjańskiej on z rzędu jest trzeci).
„Lube chwile! Gdy księżyc nad Krakowem świeci,
„Toby się i do rana nigdy nie zasnęło,
„Jak ongi zasłuchany w słowiku Jagiełło.
„Pamiętam, siedząc w oknie, wodząc wzrok po [niebie,
„I po szpicach Sukiennic, pytałem sam siebie,
„Czy też ten Kraków, czarny i opustoszały,
„Zobaczy jeszcze kiedy dni szczęścia i chwały?
„I oto jutro... los nasz..."
Tu zawiesił mowę.

Za to Wodzicki podjął: „Szczęście już gotowe,
„A w każdym razie chwała nie będzie odjętą,
„Już się „inicjowani" szykują na święto.
„Młodzież ma przywdziać godła, a panny i panie,
„Jak słyszę, porzuciły sztuczne fryzowanie,
„Więcej przez admirację, winną twej osobie,
„Włosy „à la Kościuszko" przycinając sobie.
„I chcą nosić na czole zielone przepaski,
„Bo ten kolor podobno ma u siebie łaski".
„Prawda!" — rzecze Kościuszko. — „Ten kolor [oznacza
„Młodość. Jest w nim i jakaś prostota wieśniacza,
„Nawet sama natura pierwszeństwo mu daje,

„Kiedy w niego ubiera pola, łąki, gaje.
„A gdy kolory uczuć przebiegam z kolei,
„On i tam najpiękniejszy, ten symbol nadziei,
„Ach, nadzieję nam trzeba niecić jak najszerzej!
„Choć nieraz, ten, co nieci, sam ledwie w nią wierzy,
„Hasło padło przedwcześnie... to nasz błąd jedyny.
„Warszawa nie chce czekać... i ma swe przyczyny!
„Prozor wyznał, gdy w Dreźnie bawił potajemnie,
„Że jeśli nie przystanę, to zaczną bezemnie,
„Cóż miałem robić? Potem przyszedł list Krakow-
[ski"...
Tu z niezmierną żywością przerwał mu Linowski:
„Dobrze się stało. Wodzu, któż cię tu obwini?
„Bez ciebie, ster by w rękę wzięli Jakobini,
„I czyżby nam potomne wieki darowały,
„Że, mając jeszcze reszty wojsk i arsenały,
„Daliśmy wszystko zabrać, nie ruszywszy palcem?
„Uda się! Wszak Fortuna klęka przed zuchwalcem!"

Kościuszko ciągnął smętnie: „Dziś nasz plan jest
[prosty,
„Gdy Madaliński spalił już za sobą mosty.
„Gdy tajemnica pękła, nie wstrzymać już ruchu!
„Dziś trzeba go popychać! Może też z wybuchu
„Wyjdzie i korzyść jaka, choćby ta jedyna,
„Że cudownie wywabił nam stąd Łykoszyna.
„To dziw! Na wieść, że nasi nadciągnąć tu mogą,
„Ten lekkomyślny człowiek z całą swą załogą
„Wychodzi sobie, nawet w bębny nie uderza,
„I zostawia nam Kraków bez cienia żołnierza!"

Przychmurzony Wodzicki sarknął po namyśle:
„Tak, poszli sobie, może utopią się w Wiśle,

„Jabym jednakże wolał mieć ich tu w areszcie.
„Chciejże mi, Naczelniku, wyjawić nareszcie,
„Czemu nie pozwoliłeś, aby wykonano
„Pierwszą myśl, tak ogólnie w mieście pochwalaną?
„Projekt był nasz niewinny, był nawet łaskawy.
„Jak już wiesz, wczoraj, podczas publicznej zabawy,
„Mieliśmy ich rozbroić. W kozie by tu żyli,
„A tak, może już naszych gdzieś biją w tej chwili!“

Kościuszko wstał i mówił: „Ja nad wszystko cenię
„Otwartość walki. Ślizka to rzecz—rozbrojenie!
„Nużby przy niem wypadło jakie zajście krwawe,
„To krew bezbronnych polską skaziłaby sprawę,
„Nie powinno być skazy na czystym brylancie!
„Już pół—godzina bije. Panie Komendancie,
„Przypominam jutrzejsze nabożeństwo nasze.
„Brat Melchjor ma nam z rana poświęcić pałasze,
„Wiesz, kościół Kapucynów, punkt szósta godzina,
„Bóg nie opuszcza tego, co z Bogiem zaczyna.
„Kochani przyjaciele i współbiesiadnicy,
„Dobranoc wam! Ja ruszam do swojej Strażnicy.
„Ależ, panie Józefie, ty mię sam nie prowadź,
„Schodki strome, tyś chory, trzeba się szanować“.

Tamten z wahaniem bąkał: „Każesz, to zostanę,
„Już to, co prawda, nogi mam skancerowane,
„A wojna tuż! Wstyd kuleć, zwłaszcza piechurowi,
„Jeżeli mię mój doktor na czas nie uzdrowi,
„To go wyzwę“. Tu śmiechem pokrył wyraz troski,
Wyszli do sieni. Nadbiegł adjutant Bieńkowski,
Szczęśliwy, że choć z takich usług się uiszcza,
Wiódł gościa przez najsuchsze aleje dworzyszcza,

Przodem sługa z latarką rozświecał im dróżki,
Przyczem niósł i walizkę podróżną Kościuszki.
W baszcie, nad bramą, jako miejski zwyczaj każe,
Była izdebka. Niegdyś, mieszkały tam straże,
Długo stała pustkami. Aż z czasów odmianą,
Jako pokój gościnny schludnie ją przybrano.
Tu, gdy z Lipska go tajne wzywały narady,
Kościuszko spędzał nieraz noc, wolen od zdrady.
Wszedł. Spojrzał oknem. W dole czerniała ulica,
Szukał wzrokiem—gdzie księżyc? Nie było księżyca,
Tylko u wierzchu niebios, na tle hebanowem,
Jedna rzęsista gwiazda stała nad Krakowem.
Resztę nieba zasnuły przewiewne obłoki.
Uderzył go dźwięk jakiś — cienki a wysoki,
Ni dzwon, ni zegar. Okno uchylił i słucha...
Dźwięk płynie, niby odzew niebiańskiego ducha.

W jednym z domów sąsiednich rąbkowa firanka
Przepuszcza mdłe światełko. Jakaś Krakowianka,
Przygrywając na harfie, gdzieś w głębiach komnaty
Śpiewa romans rycerski, znany już z przed laty.
Jakże mu ten głos czuły przypomina wiele!
Rozpoznał nawet ową śliczną „ritiernellę“,
Co w kółko tem życzeniem kończy się jedynem:
„Jedź, rycerzu waleczny, i wracaj z wawrzynem“.

Ustał śpiew. Słuchający jeszcze się wychyla.
„Dzięki ci!“ — woła w duszy—„Ty, co jak Sybilla,
„Dobrą wróżbą mię witasz u Krakowskiej bramy,
W głosie twoim poznałem głos Ojczyzny samej!“

Cisza. Tylko trącony zawieją marcową,
Bluszcz mu w lot zaszeleścił, jak wieniec nad głową.

Zgasło światło za rąbkiem. Zgasło i w izdebce,
Kościuszko na posłaniu pół-marzący szepce:
„Laurów ja nie pożądam! Najszczęśliwszej doli
„Doczekał, kto powraca z gałązką topoli". —

DEOTYMA

NA JASNEJ GÓRZE

POEMAT

Cena 2 marki.

Skład główny **KSIĘGARNIA KRONIKI RODZINNEJ**

w Warszawie, Plac Zamkowy (Podwale 4).